

Kiedy religia była seksem

Niewidzialna Moc, która od niepamiętnych czasów przypatruje się ludzkości, nigdy nie daje po sobie znać, że darzy jakąkolwiek religię pogardą.

-Matthew Arnold

Wystarczy przyjrzeć się początkom religii, aby zrozumieć, jak istotną rolę odgrywał w niej zrytualizowany seks. Ludzie pierwotni uważali seks za dar od bogów, przy pomocy którego można kontaktować się ze swymi ulubionymi bóstwami. Dotyczyło to szczególnie bogów odpowiedzialnych za stworzenie świata, sukces w rolnictwie i dostatek, oraz, generalnie, bogów miłości i płodności. W istocie samo słowo „żądza” w języku starogermańskim oznaczało „miłość religijną”.

W przedchrześcijańskiej Europie podczas niezliczonych wiosennych i letnich festiwali rolniczych zrytualizowany seks był obecny wszędzie. I nie mówimy tu o przyprawkach, odizolowanych ekscesach, ale o temacie przewodnim rytuałów.

Współcześni badacze chętnie przypatrują się tym ceremoniom jako prymitywnym przejawom magii sympatycznej (bądź homeopatycznej), które nie mają na celu rozwoju duchowości, ale jedynie pomnażanie płodów rolnych. Warto by tutaj przypomnieć, że pokryty liśćmi Zielony Człowiek i obsypana kwiatami Dziewica nie mają innego wyboru, niż tylko przejście gruntownej, transcendentnej przemiany duchowej, kiedy ich osobiste tożsamości płciowe jednoczą się z kosmiczną męsko-żeńską naturą roślin, od których płodności zależy życie lub śmierć ich ludu.

W zamierzchłych czasach, gdy jeszcze nie wierzono w to, że cierpienie i podporządkowanie to drogi do szczęśliwej egzystencji oraz życia po śmierci, człowiek usiłował komunikować się z inteligencją naszej planety, czyli z, jak ją cudownie określił Dylan Thomas, „siłą, która zielonym włącznikiem odpala kwiat”. Pragnął, aby jego wola rozpuściła się w wielkiej Woli inteligencji planetarnej. To usilne dążenie do zjednoczenia się z Wolą Bożą wynikało z poczucia własnej małości i niedoskonałości. Człowiek bał się, że niewiele znaczy. Albowiem nawet jego najwymyślniejsze odkrycia okazywały się być niczym w porównaniu z cudami tej mocy, która rozbudzała życie. Czuł to samo, co conradowski Kurtz, kiedy krzyczał: „Horror! Horror!”, umierając w sercu dżungli i wojennych zgłiszcz.

Być może to sama Wola Planety przypominała nam o naszej małości, aby pobudzić nas do życia i do rozwoju mocy niezbędnej dla wykonania kolejnego kroku na drodze ewolucji. A może ludzka żądza mocy jest tak naprawdę orężem, dzięki któremu nasz gatunek jest w stanie przetrwać w świecie darwinowskim. Bez względu na nasze poglądy filozoficzne, historia uczy, że ta wczesna religia miała na celu połączenie człowieka ze źródłem mocy planetarnej tak, aby mógł z niego czerpać energię do spełniania swoich pragnień.

Fryderyk Nietzsche uważał, że *Wola Mocy* jest siłą kierującą wszelkim ruchem i życiem. Tymczasem, w powszechnym mniemaniu moc to coś egoistycznego, chciwego i lichego, o co zmagają się ludzie. Załóżmy więc, że „wola mocy” to chęć wypełnienia sobą jak największej przestrzeni – czy jest na to lepszy sposób niż seks?

Większość współczesnych religii nie popiera rozwoju ukrytego w człowieku potencjału, a wręcz przeciwnie, usiłuje stłumić go w zarodku.

Barbara Walker powiada, że słowo „religia” pochodzi od łacińskiego *religio*, co oznacza „przyłączenie”. Z kolei sanskryckie pojęcie religijności, a więc *joga* (stanowiące rdzeń angielskiego słowa *yoke*, czyli „jarzmo”), również znaczy „łączyć”. A zatem, jak widać na niniejszym przykładzie, pierwotnym celem religii było wiązanie człowieka z Ziemią. To święte zjednoczenie zazwyczaj opisywano jako boską miłość między mężczyzną a kobietą lub bogiem a boginią.

I tak na przykład możemy przeczytać u Ajschylosa, że nasienie niebiańskie tytana Urana zapłodniło boginię ziemi, Gaję, w wyniku czego narodzili się bogowie i wszelkie żywe stworzenia, w tym również śmiertelnicy.

Zanim jeszcze życie sprowadzono do funkcji zwykłej odskoczni do zaświatów, ludzie domagali się czynów od swoich bogów. Kładli nacisk na natychmiastowe owoce ich działań. I jeśli bogowie okazywali się nieskuteczni, szybko dostawali wymówienie. Nasi przodkowie musieli codziennie troszczyć się o płodność swoich pól, zwierząt i siebie samych, nie mówiąc już o zdrowiu i zapewnianiu ochrony przed atakami wrogów. I nawet dawni Hebrajczycy traktowali Boga jako bóstwo pomocne w rozwiązywaniu zupełnie przyziemnych kwestii. Nikt nie był zainteresowany religią, która nie potrafiła wykazać swej skuteczności. Nasi przodkowie zapewne przyklasnęliby Carlyle’owi, kiedy wypowiadał się o religii bez rezultatów, że jest ona „w najlepszym razie... niespełnionym życzeniem; wielkim być może”.

Wiele pierwotnych religii wyznających regułę „przyczyny i skutku” przypominało nauki empiryczne. Kto wie, być może ich wyznawcy mieli w sobie coś z egzystencjalistów ufających bardziej swoim zmysłom i działaniom niż modlitwie,

ustanawiając „prawdę” na podstawie tego, co przeżywali, słyszeli lub widzieli. W każdym razie chęć osiągania natychmiastowych rezultatów, pokusa eksperymentów oraz sprawdzania „teorii” konstituują cechy dystynktywne pierwszej religii, niekiedy zwanej magią. Jeden ze słynnych współczesnych magów tak o tym mówi: „Naszą metodą jest Nauka. Naszym celem Religia”.

Człowiek pierwotny wypracował dużo metod, przy pomocy których kontaktował się z bóstwem. Wiele z nich obejmowało „śmierć”, czy też chwilowe rozpuszczenie naszego małego, automatycznego „ja”, dzięki czemu mogła ujawnić się nasza „prawdziwa Wola”. A kiedy już pozbywaliśmy się naszego automatycznego, małpiego wdzianka, łączyliśmy się z „siłą, która odpala kwiat”, a także z rybami, wiatrem, ogniem, planetą, kosmosem i bogami. Wtedy to stawał się cud i oto nagle zaczął padać deszcz albo intuicyjnie wiedzieliśmy jak znaleźć czysty strumyk, albo też gałązka amerykańskiego orzecha białego mówiła nam, gdzie należy kopać ziemię, by trafić na wodę.

W toku tych pierwszych płaśów z wszechświatem niektórzy mądrzy ludzie odkrywali, że długotrwały, szalony taniec, transowe bębnienie, intoksykacja i przede wszystkim ekstazyjne kochanie się, sprzyjają rozpuszczaniu naszych małych woli. I, co najważniejsze, przynoszą radość, w przeciwieństwie do ascetycznych głódówek i innych sposobów umartwiania się, które stały się modne wraz z nadejściem chrześcijaństwa.

D.H. Lawrence, jeden z w miarę współczesnych pisarzy, zasłużony na polu odzieirania seksu z otaczającej go niesławy, pewnego razu powiedział: „w czystości, gwałtowności, namiętności zmysłów spalam się i nie zostaje ze mnie nic poza czystą esencją”. Tą „czystą esencją” jest, rzecz jasna, „prawdziwa Wola”, która przynależy do nas samych, choć jest zarazem „wolą wszystkiego”. Pewien filozof hermetyczny opisał to doświadczenie jako spotkanie z Bogiem, którego „środek jest wszędzie, a obwód nie znajduje się nigdzie”.

Dionizjanie, wyznawcy jednej z najpopularniejszych religii sekscentrycznych, praktykowali sztukę ekscesu, która miała „usunąć” ich małe wole i połączyć ich z wszechświatem. Ich bogowie nie pochwalali ostrożności. Jeśli bowiem chciało się poznać swoje moce i ograniczenia, trzeba je było najpierw wypróbować. Wydaje się również, że te religie sekscentryczne musiały dobrze sprawdzać się praktyce, jako że były równie popularne, co kult coca-coli w latach dwudziestych (kiedy jeszcze nie usunięto z niej kokainy).

Wiele religii sekscentrycznych postrzegało inteligencję planetarną jako boginię płodności – życiodawczynię. Nasi przodkowie, podobnie jak my sami, tłumaczyli sobie świat za pomocą metafor. Nie posiadając zaś, tak jak my, metafor o charakterze „naukowym”, mówili o wielkim, potężnym penisie na nieboskłoniu, który wydaje z siebie „nasienie” boże, czyli deszcz. Niektórzy lingwiści twierdzą wręcz, że boskie imiona Zeusa oraz Jahwe pochodzą od sumeryjskiego słowa oznaczającego „sok płodności” lub „nasienie życia”. Starożytni postrzegali ziemię jako łono, w którym znajdowało się wiele „jajeczek” bogini. Dlatego właśnie mówili o płodach niebiańskiego „ojca” i ziemskiej „matki”. (Warto tu zauważyć, że nasi przedchrześcijańscy krewni nie mówili o niebie w takim kontekście, w jakim mówią o nim chrześcijanie. Dla nich był to fragment kosmosu otaczającego Ziemię, którego uważali za „ojca”.

Najwcześniejsze rytuały seksualne miały na celu przywoływanie bóstw płodności i wywieranie na nich wpływu tak, aby dostarczały obfitości. Wierzone, że bogowie naśladują zachowania rytualne jednostek lub całych plemion. Można więc powiedzieć, że wcielano wówczas hermetyczny aksjomat: „to, co powyżej, jest takie, jak to, co poniżej”. Magowie seksualni liczyli na voyeurystyczne skłonności niebiańskiego „ojca” i ziemskiej „matki”. Poza tym, niektórzy z nich wierzyli, że im silniejszych orgazmów będą doznawali kapłani i kapłanki, tym będą większe szanse na to, że usłyszą ich bogowie i sami zechcą ze sobą współżyć, błogosławiąc ziemię nasieniem. W przeciwnym razie, ziemię nie zrosiłby deszcz i stałaby się jałowym ugorem, przynosząc kres ludzkości.

Sama funkcja i cel rytuału seksualnego zmieniły się w późniejszym okresie, kiedy człowiek wynalazł bardziej skuteczny i funkcjonalny system irygacyjny. Ejakulacja „ojca” niebiańskiego nie była już potrzebna. Rytuały przestały służyć samozachowaniu gatunku, a stały się metodą rozwoju szamańskiej i jednostkowej mocy.

I tak oto pewne zdyscyplinowane jednostki odkryły, że im bardziej w swych praktykach podążają za wolą boską, tym bardziej świadome stają się swych prawdziwych woli i tym więcej gromadzą indywidualnej mocy. Zupełnie jakby ich słabe, małe umysły ustępowały prawdziwej woli, wyzwalając nadludzkie moce. Niektóre z tych pracowitych jednostek posługiwały się tymi „mocami” do manipulacji energią, nazywając siebie „magami”, „synami Bożymi”, „prorokami” lub „błogosławionymi”. Ich sztuka polegała na posługiwaniu się siłą woli dla świadomego dokonywania zmian fizycznych i psychicznych, które ignoranci nazywali „cudami”. Jedni z nich uzdrawiali chorych i dokarmiali głodnych. Inni przemieniali rzeczy w węże. A jeszcze inni wy-

woływali szaleństwo. Tym, co ich łączyło, była ciężka praca. Wielu z nich tworzyło swoje własne, nowe światy, czy nawet kosmosy, a ich koncepcje spisywali uczniowie, którzy, z kolei, filtrowali dzieła swych mistrzów przez własne mapy językowe i tunele rzeczywistości. Tym samym ich żywoty i poglądy zostały utrwalone w pismach religijnych, stanowiących zagadkę dla późniejszych teologów, oraz natchnienie dla praktykujących ów starożytny kunszt.

Magowie seksualni stawiali sobie za cel wymazanie wszelkich uwarunkowań składających się na ich „ja” i kontakt ze swoją Prawdziwą Wolą, aby odnaleźć swoje miejsce w świecie. Nie będzie przesady w twierdzeniu, że współcześni adeptci tej sztuki traktują ją kompletnie inaczej, niż członkowie ludów pierwotnych, którzy mylili „metaforę” z „odnośnikiem”. Oczywiście współcześni magowie seksualni również posługują się „metaforami”, ale ich moc *staje się częścią* „nowego odnośnika” (jeśli założymy, że ostatecznym rezultatem tej formy magii ma być nie obfitość płonów, tylko świadome uczestnictwo w transcendentalnym procesie świata).

W tym kontekście praktyki magii seksualnej mogą uchodzić wręcz za narzędzia służące odrodzeniu, czy też podwójnym narodzinom tak jak je rozumieją współcześni ewangeliczni chrześcijanie. W Świętej Biblii jest napisane, że „jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego” [„Ewangelia według św. Jana” 3:5]. A przecież nie można urodzić się na nowo, jeśli wcześniej się nie umarło. Założmy teraz, że w chwili orgazmu zdarza się „mała śmierć”. Wynika z tego, że duchowe odrodzenie może polegać na świadomym, zamierzonym umiarniu, oraz świadomym, zamierzonym przebudzeniu. Tak więc po „małej śmierci” orgazmu, osiągniętej przy pomocy surowej dyscypliny, następuje całkowite oddalenie od siebie wszystkiego, co wcześniej istniało, i świadome „odrodzenie” z wody (płynów seksualnych) i przywoływanego podczas orgazmu Boga. Mamy tu zatem do czynienia z formułą „ducha” i „wody”. Bez wątplenia współcześni chrześcijanie potraktowaliby to jako bluźnierstwo, bo, po pierwsze, nie można przecież łączyć ze sobą seksu i Boga, po drugie zaś Wola maga nie jest tożsama z Wolą Bożą.

Wraz z nadejściem chrześcijaństwa wszelkie próby poszukiwania mocy oraz posługiwania się wolą zaczęto uważać za niemoralne, złe i grzeszne. Dlatego też stłumiono sztukę magiczną, twierdząc że „wola mocy” to domena Szatana.

Kościół systematycznie niszczył wszystkie elementy dawnych form religijnych i dławił ich zwolenników. Jednak na przekór temu zachowały się wielkie tajemnice sztuk starożytnych, które w obliczu surowych represji przybierały różne maski, ukry-

wając się za słowami, znakami i symbolami zrozumiałymi jedynie dla wtajemniczonych. Przeniknęły nawet do kościoła i jego świętych rycerzy bijących się o „ziemię świętą”.

Militarno-religijny zakon templariuszy, często uznawany za szatański spisek, posiada olśniewającą, wielce romantyczną historię. Jedną z popularnych teorii spiskowych powiada, że templariusze to w istocie iluminaci, którzy nawet w czasach współczesnych kontrolują wydarzenia na świecie oraz światową gospodarkę przy pomocy swego bogactwa i mocy magicznych. Jednak, ze względu na tematykę tej książki bardziej interesuje nas ich domniemany związek z magią seksualną i barbarzyńskimi występkami przeciw Bogu i jego kościołowi, o czym będzie jeszcze mowa w Rozdziale Dwudziestym Pierwszym.